(PAT) POLSKA AGENCJA TELEGRAFICZNA
(OFICJALNA POLSKA AGENCJA PRASOWA)
50 ROCKEFELLER PLAZA, NEW YORK 20, N. Y.
BIULETYN POLSKI
Nr. 39/344 28 kwietnia, 1944.

TRZECI MAJ W OBOZIE JEŃCÓW

W kwietniu, gdy wiosenne słońce zaczęło leczyć nasze nabyte w zimie bronchity i reumatyzmy, postanowiliśmy przystąpić do zorganizowania obchodu 3-go Maja i przemycić go pod pozorem koncertu. Oczywiście "Gruppe III" Komendatury Stalagu - Gestapowcy w żołnierskich mundurach pod niewinną nazwą "cenzorów obozowych" - wyczuliby odrazu co się święci, gdyby koncert proponowany był na dzie 3-go Maja. Toteż nasz mąż zaufania, starannie wybrawszy dzień dobrego humoru szefa "Gruppe III" Hauptmanna B., wytargował pozwolenie na koncert na ostatnią niedzielę maja. Program "selbstverstandlic do ocenzurowania i "cenzorzy" obecni na koncercie. A próby - od czasu do czasu, wieczorami, na baraku 26. I już naszą rzeczą było, aby jedną z prób odbyła się przypadkiem 3-go Maja, żeby parę gorętszych słów powiedzieć, coś zadeklamować i zaśpiewać - coś, co nie przeszłoby przez cenzurę Hauptmana B.

Właściwie tylko chór potrzebował paru prób i nasz dyrygent zbierał swych śpiewaków daleko od utartych szlaków Niemców, na małej łączce za murowanym domkiem.

Zastałem ich tam 3-go Maja rano, ćwiczących półgłosem pod strażą wystawionych czujek, nieodzowne "Witaj Majowa Jutrzenko". Ranek był ciepły, prawdziwie wiosenny, słońce rozpraszało ostatnie opary nad rzeką i bieliło krętą linię drogi widocznej poprzez wysoki zasiek kolczastych drutów. Wzgórza błyszczały soczystą zielenią ozimin a podmiejskie domki niedalekiego miasteczka - którego nazwę nosi Stalag - ginęły w białych pióropuszach kwitnących drzew owocowych.

"Idealna pogoda - prawdziwy Trzeci Maj" - komentowali śpiewacy, kręcąc w czasie przerwy papierosy.

"Prawie dziewiąta godzina. Co roku o tej porze cechowy sztandar niosłem do Fary. A potem pochód..." huczał tęsknym basem mistrz szewcki z P., teraz "starszy" w warsztatach obozowych, zwolniony "na chorego", jak i większość śpiewaków, żeby mogli trenować rankami.

"Drugi Trzeci Maja w niewoli, a mnie się wciąż zdaje jakby dziś: poczet sztandarowy naszego pułku na dziedzińcu przed dowództwem - pod kasztanami..."

"Rozmarzajcie się, rozmarzajcie" - przerywa wieczny burzyciel nastrojów - marynarz z Flotylli Pińskiej, popularny z powodu jedynej w obozie, pieczołowicie cerowanej błękitnej bluzy - "ten już swój cech widzi paradujący z dratwą do Fary - tamten piechocinców ustawia do defilady; jak się tak jeszcze trochę rozmarzycie, to cały pochód trzeciomajowy gotowiści zobaczyć na tej szwabskiej szosie!"

I tak się jakoś stało, że spojrzeliśmy wszyscy poprzez druty na drogę wiodącą wśród wzgórz do miasteczka i stacji kolejowej. Już się nikt nie odezwał. Staliśmy wpatrzeni, nieruchomi, gotowi uwierzyć w zbiorową hypnozę lub cud.

Drogą zbliżał się ku nam pochód. Czwórki za czwórkami dzieci, kobiet i mężczyzn w cywilnych ubraniach szły wolnym krokiem. Kilkaset osób. A gdy czoło zbliżyło się do drutów i mogliśmy już rozpoznać szkolne mundurki, połatane suknie i ubrania, a potem linię mundurów feldgrau zamykającą pochód, nie było wątpliwości, iż byli to Polacy.

Kolumna minęła wejściową bramę Stalagu i niknęła powoli pomiędzy barakami łaźni, pralni i odwszawialni.

W obozie zawrzało. Wszystko to było tak nieprawdopodobne że nawet plotka, która normalnie potrafiła wytłomaczyć każde zjawisko Stalagowego życia i obiec obóz z astronomiczną szybkością tym

rązem wogóle się nie narodziła. Oczywiście do baraków łazni nie można się było dostac. Eskorta kolumny wystawiła posterunki, oficerowie i porządkowi obozu z psami kręcili się dokoła. Stalismy więc tylko uparcie, jak najbliżej: tłum jenców rosł i chociaż parę razy puszczano na nas psy - zbieralismy się ponownie.

Dopiero po jakiejś godzinie dowiedzilismy się wszystkiego: sanitarisusz niemiecki idący na Polską Izbę Chorych poinformował nas źródłowo, że tych 300 osób to polscy"Freiwillige" na roboty rolne w tutejszym okręgu, że transport ten przed rozesłaniem po wsiach trzeba wykąpac, zbadac i zaszczepić. W powiatowym szpitalu nie daliby rady - nie spodziewali się tak licznego transportu - tutaj pomogą obozowi lekarze i sanitariusze, no i instalacje są lepsze. Do czwartej popołudniu wszyscy muszą byc zaszczepieni.

W południe, jeden z polskich sanitariuszy przemknął się do nas na chwilę z wiadomoscią, że transport był cztery dni w drodze, w zaplombowanych bydlęcych wagonach, od dwu dni nic nie jadł i nic tutaj z obozowej kuchni nie dostanie. Są obdarci, bez żadnych bagaży. - "Zróbcie coś!"

Zebraliśmy po barakach parę kubłów zupy, którą właśnie na nasz obiad fasowali trochę menażek i łyżek, chleba i sucharów , Czerwonego Krzyża. Ktoś zrobił zbiorkę bielizny i skarpet, na którą poszły wszystkie nasze skarby, z takim trudem i ryzykiem ściągane z niemieckich magazynów.

Czekaliśmy potem aż do drugiej, żeby się większość szarż wyniosła na sobotnie wolne popołudnie. Wreszcie obładowani, porządną kolumną, pod komendą szefa baraku - żeby wyglądało, że nam ktoś kazał nieść to wszystko do łazni - ruszyliśmy we dwudziestu na linię posterunków. Udało się; wartownik zaledwie spojrzał na nas.

Pierwsze grupy właśnie wychodziły z baraku odwszawialni na plac pomiędzy magazynami, lekarze, parę siostr z powiatowego szpitala i urzędnicy "Arbeitsamtu" zajęci są jeszcze w budynku. Możemy spokojnie dzielić strawę i pomowić. Wszyscy są oszołomieni, nieludzko zmęczeni, głodni. Niczemu już się nie dziwią. Jedzą zupę, apatycznie przyjmują bieliznę, obojętnie, jakby rzecz naturalną opowiadają swoją historię.

Są z J. z Poznańskiego. Było wezwanie do ochotniczego wyjazdu do Niemiec na roboty rolne. Nowy landrat chciał się popisać i zebrać więcej ochotników, niż inne powiaty. Zgłosił się jeden, jedyny ochotnik. Potem jeszcze jedno wezwanie, a potem - cztery dni temu - poszła obława: zabierali wszystkich, jak kto stał, w mieście i paru najbliższych wsiach. Na stację, poznym wieczorem, przyjechał landrat i zdecydował, że zą mało tych ochotników. Więc uzupełnili do 300 osób starcami i dziecmi, wyciąganymi przez policję z łożek.

Z baraku wychodzą nowe grupki; większość stanowią kobiety: dziewczynki - chyba nie więcej, niż 10-cio letnie, z zapłakanymi oczami, podlotki w wyszarzałych pensjonarskich mundurkach o wyblakłych odznakach, wiejskie dziewczyny o mocnych, wyrazistych twarzach i spracowanych rękach i starsze panie w miejskich sukniach. Wśród mężczyzn są tylko chłopcy po 12-16 lat i starsi ludzi po pięcdziesiątce. Najstarszy z nich, siwy staruszek - to właśnie ten, jeden jedyny ochotnik. Odsuwa menażkę, którą mu podaję i mówi z trudem, prawie szeptem:

"Nie mogę - astma dusi, panie kochany... Na ochotnika się zgłosiłem - dwoch synów w niewoli - dwoch najmłodszych już dawno - zabrali na pracę. Myslałem, że choć - nim ta astma zadusi - może ich gdzie spotkam..."

Pani w ciężkiej żałobie, o marmurowo spokojniej twarzy, namawia córkę - młodą delikatną panienkę - by jadła. Urzędnicy "Arbeitsamt'u" wypisujący przydziały, powiedzieli jej przed chwilą, że córką pojedzie osobno. Ale pani w żałobie nie płacze. Dziękuje nam z usmiechem i ręce ściska i mowi:

"Trzymajcie się chłopcy."

Parę minut przed czwartą ściągnęli posterunki i eskorta poczęła ustawiać kolumnę. Co raz więcej jencow przemyka się jak najbliżej, żeby choć parę słów zamienić, twarzy może znajomych poszukać i kilka papierosów wcisnąc. Żegnamy się, ale gorycz i wściekłość, ktora chwyta za gardło nie daje sformułowac ciepłych słów pociechy.

Astmatycznego staruszka - tego, co na ochotnika przyjechał - wywołują z kolumny. To jedyny zwolniony przez niemieckich lekarzy, jedyny uznany za niezdolnego do pracy. Wartownik zabiera go na stację - pojedzie do domu.

Dwóch cywilnych doktorów wychodzi z polskim lekarzem-jeńcem, kapitanem S. Nasz kapitan zawsze spokojny i opanowany - teraz gestykuluje gorąco, coś tłumaczy, pokazuje na parę szeregów najmłodszych dzieci. Niemieccy lekarze kręcą głowami, a gdy podeszli bliżej, słyszę jak jeden z nich mówi zimno, uprzejmie "...aber das sind doch Freiwillige Herr Stabsarzt!", (... ależ panie doktorze to są ochotnicy!) Nasz kapitan woła donośnie najpierw po niemiecku - potem po polsku: - "Ci co na ochotnika przyjechali - ręka do góry!"

W ciszy, która zapanowała - kolumna stoi nieruchomo. Jeszcze raz to samo wezwanie. Nikt nie podniósł ręki. Kapitan patrzy w twarze niemieckich doktorów - zdaje się, że chce coś powiedzieć, ale tylko gest ręką zrobił, gest, w którym było tyle samo pogardy, co bezsilności i zniechęcenia. I odszedł bez słowa.

Ktoś krzyknął niemiecką komendę, która zabrzmiała, jak klaśnięcie bata. Ktoś w kolumnie zapłakał. Pochód ruszył.

Trzecio-majowy pochód 1941 roku w Stalagu B.

Nie zrobiliśmy już wieczorem obchodu, bo cóż mogło by mieć większy wyraz, cóż mogło by być zamiętniejszego od tego pochodu niewolników, za którym długo patrzyliśmy poprzez kolczaste druty, jak nikł nam wolno z oczu wśród zielonych wzgórz znienawidzonej ziemi - w wiosenne południe Narodowego Święta.

I nie warto już było udawać prób i organizacji koncertu. Hauptman B. miał dzięki temu dobrą okazję do powiedzenia paru trafnych uwag o polskim słomianym ogniu i wykazania jak nisko stoi polska kultura. Nawet koncertu nie mogą urządzić!

ANTONI BOGUSŁAWSKI

TRZECI MAJ (WARSZAWA, 1891)

Pan kurator się gniewa...Cisza w starym gmachu,
Na schodach siwy sawajcar dygoce ze strachu,
w "pryjomnej" drży sekretarz w granatowym fraku
pośród licznych petentów zbladłego orszaku.
Pan kurator się gniewa...Nie będzie "pryjomu"!
- Nie przyjmować nikogo! Odprawić do domu!

Cóż ci to, tajny radco? Zapachniało majem!
Młoda wiosna owładła "prywiślańskim" krajem.
Samowolna, na datę legalną nie zważa
i podrwiwa z starego stylu kalendarza.
W petersburskiej stolicy jeszcze mrozy prawie,
zimny kwiecień, a tutaj - tutaj maj w Warszawie?

Trzeci maj tchnie w ogrodach rozkwitłymi bzami!
Trzeci maj niebieskimi powiewa czapkami
po ulicach i placach! Z studenckich czwartaków
wylatują by roje rozćwierkanych ptaków,
a gdzie Starego Miasta piętrzą się facjatki
kaszkiety rzemieślnicze stawają w gromadki.

Idą...Wiedzą, gdzie idą, dokąd i którędy,
choć nikt nie rzuca haseł, nie daje komendy.
Na próżno z rogów ulic niechętny stójkowy
łypie okiem z pode łba, niemy i surowy.
Już strumyki się łączą, kaskada się leje
tłumu w plac Aleksandra i dalej - w Aleje.

Ha, chytry rodzie laszy! Policjmajster czuwa!
Wie Klejgels, dokąd tłum się podstępnie przesuwa!
W Botanicznym ogrodzie jest kopczyk nie duży,
niby nic - jedno drzewo, kilka krzewów róży,
lecz przecież buntownicza myśl w tym kopcu gości
Kołłątajów, Kilińskich - kościół Opatrzności!

Pan kurator z Klejgelsem wczoraj przebiegł ścieżki
i pokazał, gdzie będą studenckie zamieszki.
Pan kurator przewąchał, co się w głowach roi:
niech tu wejdą, a tron się carski nie ostoi!
Nie darmo od monarchy ma gwiaździste znaki.
- Otoczyć! Aresztować! Gdy trzeba - kozaki!

...A tłum płynie, jak fala, cicha i szemrząca,
rozkołysany hymnem wielkiego miesiąca,
prawdziwie w jeden akord skonfederowany.
Vivat Polska! I młodzież! Vivant wszystkie stany!
Aż niektóre ze starych, chociaż nie pochwala
tego "drażnienia rządu", synom iść pozwala.

Tłum, żołnierski odwagą, choć idzie bez broni
dreszcz ofiary i męstwa z serca w serce dzwoni.
Zapłata za dziesiątki lat w przyziemnym pyle,
w lochach więzień moskiewskich, w rozpaczy mogile.
- Choć nie pognębim wroga gołymi rękami,
przecież krew nasza zbudzi lud, co pójdzie z nami!

Dosyć! Nie idźcie dalej! Patrzcie co się dzieje!
Zadrgały kłębowiskiem spokojne Aleje.
Prą naprzód czarty zwinne na burych konikach
W czerkieskach i papachach, w czerwonych baszłukach,
i nahajka kozacka spada, gdzie zamierzy
- Hej, koledzy! Tratują! Bij, kto w Boga wierzy!

Lecą stołki w kawiarni, marmurowe blaty
na nahajki i konie, na dzikie sołdaty,
Przed "Sans-Souci" sam Klejgels pobladnął nadęty.
- Umieją i bez broni bić polskie studenty!
Aż nadbiegła policja, sprawdza matrykuły...
- Cóż! Cytadela pełna! "Odwodzić" w cyrkuły!

Pan kurator dokładnie przewidział "powstanie";
pan kurator od cara wziął podziękowanie.
Ale Klejgels wziął więcej: poznał, co to sława.
Nim pole bitwy rzucił, już cała Warszawa
W pogwiździe uliczników wołała: "Merci,
zwycięzco bohaterski, lwie z pod "Sans-Souci"!

O, miasto me, pogodne i w więzach niewoli,
coś tak umiało zadrwić z tego, co cię boli,
coś Trepowowi dało w twarz pod wodotryskiem
a Mengdena zrobiło ludzkim pośmiewiskiem!...
Gdybyś dziś, znowu zdobne w stolicy diademem,
witało Trzeci Maj nie w milczeniu niemem,
nie, jak na widowisko, szło na plac marsowy,
przed sztandarami raźniej odsłaniało głowy,
gdybyś i dziś, na każde narodu zaklęcie,
dało serce, co niegdyś biło w tym studencie -
królewski blask wolności padł by ci na lico
i była byś piękniejsza, Warszawo - stolico!

Tak pobluźniłem kiedyś...Ty, skrwawiona matka,
wybacz te marne słowa, skalane goryczą -
któraś się nie ugięła przed ćmą napastniczą
i z granatami w ręku trwałaś do ostatka.

Nie mnie Ci wić wawrzyny, ni za słowem gonić,
boś ty nad słowo wyższa i niepokalana.
Do twych Kamiennych Schodków przygięc mi kolana,
żem ja - syn - nie powrócił, aby ciebie bronić.